



GARŚĆ WSPOMNIENI  
Z CZASÓW  
II WOJNY ŚWIATOWEJ

---

SIOSTRA M. IWONA KRÓL



# GARŚĆ WSPOMNIENI Z CZASÓW II WOJNY ŚWIATOWEJ



Wspomnienia siostry M. Iwony Król  
z okresu II wojny światowej spisane przez  
siostrę M. Aurelię Kapturczak

Ryciny:

Zdzisława Pryszczewska

## GARŚĆ WSPOMNIENIĘ Z CZASÓW II WOJNY ŚWIATOWEJ

Choć tak daleko odplynęły lata okrutnej wojny, a wciąż wracają ku mnie obrazy tamtych dni. Przesuwają się przed moimi oczyma jak na taśmie filmowej. Lato 1939 r. było wyjątkowo pogodne i urodzajne, ale wyczuwało się jakiś niepokój, jakby ciszę przed burzą. Nadszedł dzień 1 września – pierwszy piątek miesiąca, piękny bezchmurny dzień. Drzewa w sadach uginały się pod ciężarem owoców, powietrze przesycone było ich zapachem. Nagle w tę ciszę wdarły się detonacje wybuchających bomb – zapowiedź nadciągającej groźnej burzy dziejowej. Wybuch wojny zastał mnie w Pucku, gdzie pracowałam jako pielęgniarka w domu starców. Zaraz w pierwszym dniu wojny padły na miasto bomby, od których zginęło 17 osób. Zorganizowana grupa mieszkańców zajęła się grzebaniem zmarłych. Pogrzeby odbyły się po katolicku. Ksiądz wprowadził ten smutny kondukt do kościoła. Jakież to był okropny widok! Na posadzce kościoła stało 17 trumien w otoczeniu zapłakanych rodzin i wylękłych mieszkańców. Sceny takie powtarzały się, śmierć zbierała swoje krwawe żniwo.

Po dwóch tygodniach wkroczyli do miasta Niemcy – rozpoczęły się aresztowania i rozstrzeliwania. Przyszli również do naszego Domu Zakonnego, z zamiarem zgotowania nam takiego samego losu (o czym dowiedziałyśmy się później). Przerazone nie wiedziałyśmy, co robić. Ja wydostałam się na zewnątrz bocznymi drzwiami. Znając trochę język niemiecki, podeszłam do napotkanego patrolu i prosiłam o pomoc. Przybyli ze mną do domu i stwierdzili, że żołnierze działali pod wpływem alkoholu. W następnym dniu Niemcy przeprowadzili u nas rewizję. Kazali nam zabrać osobiste rzeczy, opuścić dom i szukać sobie lokum w mieście. Całe mieszkanie opieczętowali. Zaledwie zdołałyśmy rozejść się po znajomych, odszukali nas i zaprowadzili do ratu-sza. Stałyśmy przerażone około trzech godzin na podwórzu. Wieczorem zaczął padać ulewny deszcz. Na podwórze zajechał ciężarowy wóz, do którego kazano nam wsiadać. Jechaliśmy w nieznaną pod strażą czterech uzbrojonych żołnierzy. Jazda trwała ponad godzinę. Gdy samochód zatrzymał się, usłyszeliśmy rozkaz „aussteigen”. Wystraszone i przemoczone znalazłyśmy się w pustym polu – w ciemną noc. Samochód z żołnierzami odjechał. Pomyślałam sobie z amknęła się jedna karta mojego życia. Modląc się żarliwie, przeczekaliśmy do rana. Minęło pierwsze przerażenie i strach – trzeba było działać. O świcie wyruszyłyśmy w drogę z modlitwą na ustach. Napotkany staruszek powiedział nam, że znajdujemy się około dziesięciu km. od Gdańska i wskazał, w którym kierunku mamy iść. W Gdańsku odszukałyśmy Dom S.S. Elżbietanek narodowości niemieckiej. Zdziwione naszym widokiem nakarmiły nas, pozostałyśmy tu przez dwa tygodnie. Przełożoną S.S. Elżbietanek była Polka s. Izabela Pawłowska, która musiała zgłosić w komendanturze miasta o naszym przybyciu. Z rozkazu komendanta miasta odesłano nas do naszego zgromadzenia, do Wrocławia. Po dwudniowym pobycie tu, rozdzielono nas i skierowano do domów S.S. Elżbietanek w różnych miejscowościach. Mnie przypadła w udziale Wschowa Fraustadt.

Jadąc do Wschowy, patrzyłam na pierwsze zniszczenia wojenne. W Głogowie i Wschowie płonęły bożnice. Po przybyciu do Wschowy, musiałam zgłosić się do Arbeit-samtu. Dostałam skierowanie do Domu S.S. Elżbietanek, ponieważ one zgłosiły zapotrzebowanie na pomoc domową.

Siostry prowadziły sierociniec i przedszkole. Ponieważ w mieście był tylko jeden lekarz, wielu chorych zgłaszało się do nich o pomoc. Ucieszyły się więc bardzo, że ja jestem pielęgniarką.

Pierwsze dni we Wschowie były dla mnie przytłaczające. Znalazłam się w zupełnie obcym otoczeniu. Wszędzie widniały znaki „Hackenkreuz”, a w uszach wciąż brzmiało „heil Hitler”. Otrzymałam oznakę P, i wolno mi było wychodzić na miasto tylko w dzień. Bardzo uciążliwe było dla mnie codzienne zgłaszanie się na policji, gdzie spotykało mnie wiele przykrości. Ponieważ trzeba było również wieczorami chodzić do chorych, s. przełożona wystarała się dla mnie o przepustkę.

Pewnego dnia otrzymałam polecenie odwiezienia chorego karetką do kliniki „Max” we Wrocławiu. Tu spotkałam s. Stefanę Sołtysiak, Polkę Niemcy skierowali ją z Lublina do Wrocławia. Co za radość! Mogłam rozmawiać po polsku. Zwróciłam się z gorącą prośbą do matki przełożonej Edelberty, by przydzieliła s. Stefanę do Wschowy, ponieważ tam brakuje bardzo rąk do pracy. Matka wyraziła zgodę. Wracałam szczęśliwa, że będziemy teraz w dwójkę dźwigać krzyż naszego życia. S. Stefana została przydzielona do kuchni. Radość nasza trwała krótko. Po kilku dniach czekało nas ciężkie przeżycie. Dano nam do wypełnienia formularze. Poprosiłyśmy siostry niemieckie o pomoc w ich wypełnieniu. Pierwsze wypełniły one formularz s. Stefany i dały jej do podpisania.

Ja znając trochę j. niemiecki, zorientowałam się w trakcie czytania, że chodzi tu o podpisanie Volkslisty i pytanie to przekreśliłam. Gdy zostałyśmy same, powiedziałam siostrze Stefanie, w jakim celu dano nam do wypełnienia ten formularz. Była zrozpaczona, wypełnione nieszczęsne formularze były już w pokoju przełożonej. Przez całą noc modliła się biedna s. Stefana w kaplicy. Rankiem udało się jej wejść, pod nieobecność przełożonej, do jej pokoju i przekreślić pytanie, które kosztowało nas tyle nerwów. Poczuliśmy ogromną ulgę, ale przecież to nie koniec tej historii. Wypełnione formularze musiałyśmy osobiście odnieść do urzędu. Idąc tam drżałyśmy ze strachu. Niemiec przejrzał formularze, spojrzął na nas groźnym wzrokiem i jeszcze groźniej spytał: „jaki chleb jecie?”. Skąd u mnie wzięło się tyle odwagi, to tylko Bóg wie. Odpowiedziałam: „niemiecki, ale polskiego mieliśmy do syta, tylko nam odebrano”. Za naszą obecną pracę należy się nam chleb. O dziwo, warknął tylko, że możemy się stąd zabierać. Żywiłam nadzieję, że już będziemy mieć spokój.

Tymczasem po kilku dniach otrzymałam list od ks. Kuratora z Wrocławia, z podpisami Matki Generalnej oraz siostr radnych, z ostrą naganą za nieposłuszeństwo i buntowanie drugiej siostry. Z początku, bardzo się tym zmartwiłam, ale zaraz przyszła refleksja – przecież trzeba się bronić. Napisałam list, oczywiście w j. polskim, w którym starałam się odpowiedzieć na stawiane mi zarzuty. Najwięcej zabolął mnie zarzut nieposłuszeństwa. Zaznaczyłam, więc w liście, że jeśli otrzymam polecenie wyjazdu choćby do Afryki, gotowa jestem wyjechać, ale tylko jako Polka. Na list ten nie otrzymałam odpowiedzi. Po kilku tygodniach zostałam wytypowana przez komendanturę niemiecką do pomocy jako „Adolfs Hitler Schwester” do Herrnprotsch. Przedstawiciele ludności cywilnej Wschowy rozpoczęli starania o pozostawienie mnie we Wschowie, a poparł je SS-man, któremu leczyłam z dobrym skutkiem wnuczkę. Udało się – pozostałam we Wschowie.

Dnie wypełnione były chodzeniem do chorych. Upadałam czasem na nos ze zmęczenia. Ileż to nieraz przeżyłam strachu, żeby stosowane przeze mnie środki pomogły i żeby broń Boże,

nikomu nie pogorszyło się. Pacjentami moimi byli zarówno Polacy, jak i Niemcy. Otrzymywane od Niemców środki żywności czy lekarstwa, zanosilam chorym Polakom.

Pewnego wieczoru, gdy zmęczona całodzienną pracą wróciłam do domu, przełożona poleciła mi pójść jeszcze do chorego 4-letniego dziecka. Dziecko zostało potrącone przez samochód i w następstwie tego wypadku, cierpi na skurcze i drgawki, które pojawiają się przy układaniu dziecka do snu. Leczyli je już bezskutecznie lekarze. Idąc tam miałam tremę, bo cóż ja będę mogła pomóc? Przez drogę modliłam się gorąco i wtedy przyszła mi na myśl metoda Kneippa. Poleciłam stroskanej matce, by przed snem nacierała dziecko ręcznikiem namoczone w zimnej wodzie. Rada okazała się skuteczna. Skurcze ustąpiły, a radość rodziców była ogromna. Bóg błogosławił mej pracy.

## **Ewakuacja niemieckiej ludności**

Nadszedł grudzień 1944 r. Na ulicach miasta panował wzmożony ruch. Wracając od chorego z Dębowej Łęki, napotkałam wozy z ludnością cywilną. Byli to Schwarzmee-Deutsche, przesiedlani z terenów ZSRR do Niemiec. Na pytanie moje, co to wszystko znaczy, powiedzieli, że wojska radzieckie już nadchodzą. Rozpoczęła się ewakuacja ludności niemieckiej, uchodzącej przed zbliżającym się frontem.

W dzień Bożego Narodzenia odprawiona została tylko jedna Msza św., normalnie odprawiano 4.

Panował okropny mróz, na drogach ślizgawica. Ulice zapelnione były wozami i pieszymi. Słysząc było przekleństwa i złorzeczenia. Konie ślizgając się, przewracały się i tamowały ruch. Jeden wóz zatrzymał się przed naszym domem. Koźmi powoził 12-letni chłopiec, Adolf. Na wozie konał jego ojciec. Obok ojca siedziała, zanosząc się od płaczu, 8-letnia Weroniczka, siostra Adolfa. Ojciec wyzionął ducha. Myśl o pogrzebie napawała nas strachem. Skąd w tym chaosie wziąć trumnę? Jak go pogrzebać? Wiedziałam, że jedna z kobiet miała przygotowaną, na wypadek swej śmierci, trumnę. Ponieważ została teraz ewakuowana, można było trumnę zabrać. Udałam się z Adolfem do jej domu. Wszystkie drzwi były pootwierane, trumna stała na strychu. Nie wiem w jaki sposób udało mi się, z pomocą 12-letniego Adolfa, ściągnąć ciężką trumnę ze strychu. Byłam wtedy młoda (33 lata) więc, choć z trudem, daliśmy radę. Ułożyliśmy w niej zmarłego i z pomocą sióstr, zawieźliśmy na wózku na cmentarz. Dziwny to był kondukt pogrzebowy. Wózek, na którym leżała trumna, ciągnęły siostry zakonne i mały Adolf. Nowe trudności nastąpiły przy spuszczeniu trumny do grobu wykopanego przez naszą trójkę. Nie mieliśmy sznurów. Resztkami sił zsunęliśmy do grobu trumnę skropioną wodą święconą i łzami sierot.

Nasz dom był sierocińcem, w którym przebywało 15 sierot, chłopcy i dziewczynki. Sieroty te, za rozporządzeniem władz niemieckich, zostały również ewakuowane w głąb Niemiec. Ewakuacja wypadła w ten mroźny grudniowy dzień rano. Wieczorem dowiedziałyśmy się, że dzieci siedzą jeszcze w wagonach na stacji kolejowej. Zabraliśmy ze s. Stefaną bańki z gorącym mlekiem, zrobiliśmy kanapki i nakarmiłyśmy zziębnięte sieroty.

Proboszczem parafii Wschowa był ks. Józef Kliche. W czasie ewakuacji złamał sobie nogę, więc zabrano go do szpitala. Po dwóch dniach szpital z chorymi ewakuowano. Przed pójściem do szpitala zawezwał mnie na plebanię i powierzył mi klucze od kościoła, prosząc o opiekę nad kościołem.

W czasie ewakuacji przybyło nam jeszcze siedmioro zagubionych dzieci, oraz 11 staruszków niezdolnych do ewakuacji. Jeden ze staruszków Filip Ferednik zmarł po kilku dniach. Ten pogrzeb był jeszcze żałośniejszy. Nie mieliśmy dla niego trumny. Zwłoki przykryte prześcieradłem zaniosłam znów z małym Adolfem na noszach na cmentarz. Nosze okazały się bardzo ciężkie, trzeba było odpoczywać co parę metrów. Z trudem dowleliśmy się na cmentarz. Tu doszła do nas s. Honesta 75 - letnia staruszka oraz żona zmarłego. Grób uprzednio wykonaliśmy z Adolfem. Zwłoki przykryliśmy nazbieranymi gałęziami i przysypaliśmy ziemią.

#### Odwrót Niemców - Wschowa wolna

Wschowa, była miastem frontowym, przez miasto przejeżdżały tabory wojenne. Sąsiedni Głogów bronił się dzielnie, do Wschowy dochodziły odgłosy strzałów artyleryjskich. 1 lutego 1945 r. wycofały się ze Wschowy resztki wojsk niemieckich.

Jeszcze raz pojedynczy oddział niemiecki zaatakował Wschowę. Niemcy podeszli pod gazownię, ale zostali odepchnięci przez wojsko radzieckie.

Był jeszcze jeden taki dzień, że nadleciały samoloty niemieckie i ostrzeliwały miasto.

Zawitały pierwsze dni wolności. Wyludnione miasto przedstawiało opłakany widok – wiatr łomotał pootwieranymi okiennicami opustoszałych domów, rozrzucił resztki papierów. Puste ulice zaśmiecone były porzuconą bronią, sprzętem wojskowym, połamanymi wozami i tobołami rzucanymi przez uciekających mieszkańców. Gdzieś tam leżały trupy ludzi dorosłych i dzieci. To uciekający wyrzucali z wozów tych, którzy nie wytrzymali trudów ewakuacji.

Napływali do miasta pierwsi pionierzy. Zaczęli powracać Polacy wywiezieni do Niemiec na roboty. Wracali przeważnie pieszo, ciągnąc za sobą wózki ze skromnym swym dobytkiem. Byli wycieńczeni, słabi, chorowali, a w mieście nie było ani lekarza, ani aptekarza, ani księdza. Dla chorych potrzebne były leki. Apteki były otwarte, niestrzeżone przez nikogo, więc sama wchodziłam do aptek i zbierałam leki. Chorych było tak dużo, że nawet nocą trzeba było do nich chodzić. Władze radzieckie wydały zakaz chodzenia po mieście. Nie wolno było wydalać się poza miasto. Wystarałam się o przepustkę u komendanta miasta, Miszyna, więc mogłam swobodnie się poruszać. Pielęgnowałam również żołnierzy radzieckich, byłam nawet upoważniona do wypisywania zwolnień z pracy.

Pamiętam dokładnie datę 25 lutego. Żołnierz radziecki zgłosił mi, że w domu przy ulicy Wolsztyńskiej 12 slychać jak płacze „rabiata”. Udałam się z nim pod wskazany adres. Tu w nieogrzewanym mieszkaniu tonął we łzach 6-letni chłopczyk. Łkając mówił: „mama powiedziała, że idzie kupić konika i nie wróciła”. Jego zziębnięta 6-miesięczna siostrzyczka leżała w łódeczku. Nie miała już siły płakać. Zawinęłam dziewczynkę w koc i wzięłam na ręce, a chłopca, który nie mógł iść o własnych siłach, wziął na ręce żołnierz. Przynieśliśmy dzieci do naszego domu. Naza-jutrz zostały ochrzczone w kościele. Dziewczynka otrzymała imię Aniela, bo wyglądała jak aniołek, chłopiec zaś otrzymał imię Stanisław. Nazywał się Detlaw Ginter.

Matka ze starszym synem wyjechała, a małeństwa zostawiła na pastwę losu. Po zbombardowaniu Berlina została przekazana do Leszna. Obecnie mieszka z synem w Niemczech. Aniela wyszła za mąż, ma dwoje dzieci i mieszka w Poznaniu. Z matką utrzymuje kontakt.

W domu było nas obecnie 5 sióstr: s. przełożona Justiana i s. Bernwarda – Niemki, oraz trzy Polki: s. Honesta, s. Stefana i ja.

Gdy Niemcy opuścili miasto, a weszły wojska radzieckie, siostry niemieckie kryły się. Zaczęło nam bardzo brakować żywności – sklepy były puste, a artykuły żywnościowe zniszczone. Chodziłam z Adolfem po mieście szukać żywności. Znajdowaliśmy ją w pustych pootwieranych mieszkaniach.

Pewnego dnia w południe Adolf zgłosił mi, że kościół jest otwarty. Zdziwiłam się, bo po wyjeździe proboszcza, kościół został zamknięty, a klucze były u mnie. Poszłyśmy z siostrą Honestą zobaczyć, co to znaczy. Obeszłyśmy wewnątrz kościoła i pod ścianą zauważyłyśmy skrzynkę. Poszłam po s. przełożoną, która wyraziła przypuszczenie, że to jest pewnie bomba zegarowa. Kazała nam natychmiast opuścić kościół. Mnie niepokoiła wciąż myśl, że ten piękny kościół może zostać zniszczony. W uszach wciąż jak testament, brzmiały mi słowa ks. proboszcza, oddającego mi kościół pod opiekę. Wróciłam więc, mimo sprzeciwu sióstr. Ostrożnie wyniosłam skrzynkę i położyłam na chodniku obok zabudowań gospodarczych należących do plebanii. W obawie, by w razie wybuchu bomby, nie uległ zniszczeniu kościół oraz plebania, przeniosłam skrzynkę na planty – w pewnej odległości od domów mieszkalnych. W nocy bomba eksplodowała. Okropny huk, od którego drżały okna i drzwi, postawił nas wszystkich na nogi. Rano zobaczyliśmy pod drzewem, pod którym umieściliśmy skrzynkę głęboki lej powybuchowy.

Jednego dnia powiadomił mnie p. Kurzawski (mieszka obecnie w Lesznie) że w kościele parafialnym „urzędują” żołnierze radzieccy. Weszłam razem z p. K. do kościoła. Na widok tego co zobaczyłam, chciało mi się płakać i śmiać. Żołnierze, poubierani w szaty liturgiczne, zabawiali się w kościele. Na mój widok jeden z podchmielonych żołnierzy krzyknął: „strzelam”. W tym momencie było mi wszystko jedno, powiedziałam mu: „strzelaj”. Uspokoił się, a ja mówiłam powoli dalej: „To jest kościół katolicki i nie wolno go znieważać”. Nastąpiła między nami krótka wymiana zdań, w czasie której zaświtała mi myśl, że przecież wiem, że komendantem miasta jest kpt. Miszyn. Krzyknęłam więc, że kpt. Miszyn powiedział, że nie wolno kościoła plądrować. Reakcja była natychmiastowa, rozebrali się z szat i powychodzili z kościoła. Natomiast ja z p. Kurzawskim udaliśmy się na komendaturę miasta, by powiadomić władze radzieckie o wspomnianych zajściach. Nie przejęli się tym zbyt. Wróciłam do kościoła i z s. Honestą pozbierałyśmy porzucane szaty liturgiczne i przeniosłyśmy do naszego domu. Kościół zamknęłam na klucz.

Na drugi dzień poszłam znów zobaczyć, czy w kościele jest wszystko w porządku. Oczom moim przedstawił się przykry widok – kościół otwarty, a rozbity przy drzwiach mur wskazywał, że gwałtem wdarto się do kościoła.

A wewnątrz i tabernakulum, wydarte z ołtarza, stało oparte o jego stopnie. Na szczęście nie potrafili otworzyć drzwiczek, więc Najświętszy Sakrament pozostał wewnątrz nienaruszony. Figurom serafinów, adorujących na ołtarzu P. Jezusa, poobcinali skrzydła były złożone, więc przypuszczali, że są złote. Z porozbijanych stopni ołtarza zerwali dywany. W zakrystii stała ogniotrwała szafa, w której znajdowały się: kielichy, relikwiarz i srebrny krzyż. W szafie wycięli ścianę i opróżnili jej zawartość. Połamane naczynia leżały obok. Brakowało jednego kielicha. Zmartwiona pobiegłam do znajomego ślusarza, Schulca Niemca. Ponieważ miałam klucz od tabernakulum, więc otworzyliśmy je. Wyjęłam Hostię św. i przeniosłam do naszej kaplicy.

Następnego dnia po tych wypadkach, przyszło do naszego domu pięciu wojskowych radzieckich kapitan, żandarm i trzech żołnierzy. Przeprowadzili rewizję. Na pytanie czego szukają odpowiedzieli – Germana. Przetrzęsnęli suteryny, potłukli stojące tam słoiki z zaprawami. Kolejno zaszli na II piętro i strych. Właśnie tam miałyśmy ukryte przyniesione z kościoła rzeczy tego przypuszczalnie szukali. Pokój był zamknięty na klucz, zażądali jego otwarcia, wołając: „otwieraj, bo strzelam!”. W odpowiedzi na to, prosiłam, by pokazał mi pismo od kpt. Miszyna, który jeden tylko ma władzę, jako komendant miasta. Wskazał na gwiazdki u swojego munduru, mówiąc: „ja kapitan”. Powiedziałam znów: „to mi nie nada, komendantem miasta jest kpt Miszyn”. Rozzłoszczony wciąż krzyczał i groził, że strzeli. Nie odwracając się, cofałam się do tyłu, by widzieć, czy spełni swą groźbę. Wychodzili za mną, kapitan tupnął nogą krzyżąc: „otwieraj!”. Ja również tupnęłam nogą, wołając: „nie otworzę”. Wreszcie wycofali się i odeszli.

Ta sama grupa często nas odwiedzała. Trzeba było wszystko dobrze ukryć. Monstrancję, kielichy oraz inne naczynia konsekrowane umieściłam na piecach, które miały ozdobne gzymsy, stanowiące doskonałą osłonę.

## **Wędrowki do kościołów w pobliżu Wschowy**

Dowiedziałam się, że w sąsiednich parafiach konsekrowane Hostie leżą porozrzucane na posadzkach. Nikt z dorosłych nie chciał ze mną pójść. Zabrałam więc ośmioletnią naszą Weroniczkę i ruszyłyśmy do Siedlnicy, odległej od Wschowy o 6 km. Tam zatrzymali mnie żołnierze radzieccy, pytając dokąd idę. Ponieważ miałam przy sobie przepustkę, potwierdzoną przez kpt. Miszyna, puścili mnie wolno. W kościele zastałam tabernakulum otwarte. Puszka z komunikantami oraz kielich i monstrancja były w zakrystii. Kielich włożyłam do szkolnego tornistra i założyłam Weroniczkę na plecy. Ja wzięłam puszkę z Hostią i monstrancję. Szat liturgicznych już nie było. W drodze powrotnej doszłyśmy do rzeczki, na której w miejsce zerwanego mostu, była wąska kładka. Weroniczka bała się, wołając: „bo się utopię”. Gdy powiedziałam jej, że ja pójde pierwsza, a ona za mną, znów płakała: „bo siostra się utopi”. Wreszcie przeszłam powoli sama, następnie podałam rękę Weroniczkę i ona również przeszła. Dotarliśmy szczęśliwie do domu. Kielich z Hostią wstawiłam do tabernakulum w naszej kaplicy, a monstrancję i kielich włożyłam do schowka na piecu.

Celem następnej mojej wyprawy, była Dębowa Łęka, odległa o 3 km od Wschowy. Tym razem zabrałam się z żołnierzem, który jechał po siano. Znałam go dobrze, bo pielegnowałam jego dziewczynę, chorą na gruźlicę. Zabrał mnie chętnie, bo powiedziałam, że jadę do chorych.

W Dębowej Łęce nie było jeszcze ani żywej duszy. Weszłam do kościoła, przeraził mnie widok rozsypanych na posadzce komunikantów. Kielicha już nie było, jedynie pogięta monstrancja. W zakrystii znalazłam korporal i do niego włożyłam pozbierane pospiesznie komunikanty. Znalazłam również jeszcze dwa ornaty. Obok kościoła stał zupełnie pusty dom. Zabrałam stojący tam kosz do bielizny i w nim złożyłam znalezione rzeczy. W drodze powrotnej ciągnęłam kosz za jeden uchwyt. Biegłam, ile mi starczyło sił. Nie chciałam bowiem spotkać żołnierza, z którym przyjechałam. Po przyjeździe do domu, włożyłam znów Hostie z korporalem do naszego tabernakulum.

W odległości od Wschowy leżała Osowa Sień. Tam udałam się pieszo przez pola. Tu było już

wszystko splądrowane, więc wracałam do domu z pustymi rękami. W drodze spotkałam żołnierza, starszego już człowieka. Ten rozpoczął ze mną rozmowę i opowiadał, jacy dawniej w Rosji byli ludzie religijni, jakie mieli piękne zwyczaje i obrzędy. Na święta wielkanocne ludzie ustawiali, wzdłuż jednego kilometra, lampki olejne i świecili świeczki. Ostatnia i najmniej udana wyprawa była do Konradowa – w tej drodze towarzyszyła mi p. Tomaszewska, gdyż bałam się pójść sama. Przy wejściu do wioski spotkałyśmy ruską dziewczynę wystrojoną w czerwony ornat, dalej paradowała w czerwonej kapie inna dziewczyna. W kościele zastałyśmy pustkę. Prócz jednego małego relikwiarza, wszystko było już zabrane. Właśnie, gdy sięgałam po ten relikwiarz, nadszedł żołnierz i powiedział, że mamy iść do dojenia krów. Ogarnęło nas przerażenie. Nikt nie wiedział o naszej wyprawie, więc nie miałyśmy nadziei na ratunek. Na szczęście nadszedł wojskowy wyższej rangi i pytał żołnierza, co to ma znaczyć. Ten odpowiedział, że znalazł nas do dojenia krów. Oficer popatrzył na mój habit zakonny i powiedział: „To polska monaszka, trzeba ją odstawić na komendanturę. Tę drugą zatrzymamy do dojenia krów”. Pani Tomaszewska rozplakała się. Zabrali nas obie z kościoła do pałacu. Tam spisali długi protokół, z którym miałam być przewieziona na komendanturę. Zapytałam, czy to do kapitana Miszyna. Piszący protokół spojrzał na mnie, podał protokół, mówiąc: „idźta w czorty”. Półprzycymne ruszyłyśmy biegiem w powrotną drogę, obawiając się, by nas nie zawrócono z drogi.

Pacjentem moim był również Miszyn który chorował na serce. Pewnego dnia przyszedł do mnie żołnierz z poleceniem od kpt Miszyna. Musiałam udać się do wojskowego wyższej rangi, który stacjonował w pałacu w Dębowej Łęce.

Bałam się jechać sama, więc zabrałam ze sobą młodą dziewczynę, Wandę Tysper. W pałacu przyjęli nas bardzo uprzejmie i gościnnie. Częstoowali nas chlebem, smażoną słoniną, a do picia podali spirytus. Jadłyśmy wiedząc, że odmowę przy poczęstunku, traktowali jako obrazę. Od picia spirytusu udało nam się wymówić. Chory miał anginę. Zrobiłam więc zastrzyk i dałam odpowiednie leki.

## **Życie we Wschowie powoli stabilizuje się**

Do Wschowy napływa ludność polska. Przybywali z różnych stron Polski, po latach poniewierki, często zza drutów obozów koncentracyjnych. Najliczniej przybywało repatriantów ze Wschodu. Nie brakowało też szabrowników, szukających łatwego łupu. Na ulicach pełniły służbę patrole polskie i radzieckie. Zaczęła urzędować polska komendantura milicji. Życie wracało powoli do normy. Otwierano sklepy, warsztaty rzemieślnicze. Na początku czerwca 1945 r. polskie dzieci przekroczyły progi szkolne. Z Leszna dojeżdżał raz w tygodniu ksiądz i odprawiał Mszę św.

Pierwszym administratorem był ks. Cichoń.

7 grudnia 1946 r. przybył do Wschowy pierwszy proboszcz. Od pierwszej chwili pełniłam obowiązki zakrystianki. Zaczęły się prace przy usuwaniu zniszczeń w kościele. Wyjęłam ze schowka naszego paramenty kościelne i szaty liturgiczne. Teraz przydały się bardzo.